Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 10.** **Leszno, dnia 8. Września 1838.**



Barbara Radziwiłłówna.

Barbara Radziwiłłówna słynie dotychczas jako najpiękniejsza i najlepsza wieku swego niewiasta. Jéj wdzięki musiały być czarujące, kiedy niemi tak króla ująć zdołała, że tenże jéj miłość przeniósł niejako nad miłość narodu. Albowiem sejm, reprezentujący cały naród, żądał koniecznie odrzucenia xiężniczki od tronu. Dawniéj podaliśmy naszym czytelnikom obszernie skreślone jéj życie. Dotąd rysy twarzy Barbary znane były z portretów wykonanych podług współczesnego rysunku, dochowanego w pugilaresie Zygm. Aug. z epoki owéj zapewne, kiedy jeszcze była wdową, nie królową, sądząc po ubiorze; i taki wizerunek umieściliśmy dawniéj.

Parę lat temu przywiezione zostały portrety familijne Radziwiłłów z zamku nieświeskiego do Wilna dla poprawy i odnowienia; pomiędzy niemi znalazł się spółczesny obraz Barbary w ubiorze królewskim: podług tego oryginału oddany jest nasz wizerunek, wyjęty z „Pamiętników o królowéj Barbarze p. Michała Balińskiego w Warsz. 1837 r.,“ których tom pierwszy dopiero wyszedł, a którego treść znajduje się w „Tygodniku literackim,“ wychodzącym w Poznaniu pod red. Wojkowskiego, w Nrze 15, 16, 17.

Ułamek z podróży po Lombardyi

przez

Adama Gorczyńskiego.

(*Wyjęty ze Słowianina z r.* 1837.)

Miesiąc kwiecień był w drugiéj połowie, kiedy opuszczaliśmy Medyolan, dążąc ku stronie zachodniéj, ku Alpom, które w długim bieleją się rzędzie, niby to grono siedzących senatorów rzymskich, z siwemi brodami i czołem siwém. U ich podnóża ścielą się równiny długie, rozległe, zielone, młode i świeże, jak powab dziewicy, a wystrojone, jak oblubienica do ślubu.

Miesiąc językiem Polaka miesiącem kwiatów nazwany, rozséła po naszéj krainie wiatry, wiejące przeczuciem bliskiéj wiosny. W szczęśliwéj krainie Lombardów jest miesiącem kłosów, najbujniejszego roślin życia, a słońce kwietniowe już promienia swego ogniem przetapia woń kwiatu na cukier pomarańczy, a w gnieździe, z pęków liści ubitém, wygrzewa już owoce wonne i słodkie.

Na lewicy i prawicy gościńca, pod baldachimem gałęzi morwowych, kołysały się fale kłosów pszenicznych i żytnich, lecz winna macica czołgała się jeszcze nisko, objąwszy ramionami stopę drzewa. Z Medyolanu pierwszym wyjechaliśmy rankiem; ranek to był włoski, świeży, jasny, szkarłatny; słońca jeszcze nie było. Na niebiosach czerwieniło się zorze, i mniemałbyś, że to ziemia z łona kwiatów swoich wyséła do nieba te rumieńce, te wonie. — Obłoczki cienkie, przezroczyste, stały nieruchome, uczerwienioném czołem patrząc w słońce, którego ziemia nie widziała jeszcze, i czekając na wschód onegoż; bo skoro wstało, rozprysły się w powietrzu i znikły, a król złotego światła płynął sam po błękitach i śmiał się do ziemi i promieniem całował usta moje.

Podróż szła szybko; dwóch żandarmów, których ubiór i wesołość przypominały żołnierzy Napoleona, towarzyszyło nam w téj podróży konno, ubezpieczając nasze pularesy. Zuchwałość albowiem rozbójników, często do tego posuwała się stopnia, iż w bliskości stolicy, w obliczu licznéj załogi, w dziennéj nawet porze, niewzdrygali się napadać i okradać przejeżdżających tą okolicą podróżnych.

O południu stanęliśmy w *Sestokalende,* już u podnóża Alpów, w mieścinie, będącéj portem jeziora *Lago maggiore;* okręt parowy, przebiegający codziennie całą obszernego jeziora od końca do końca przestrzeń, już czekał na podróżnych. Dźwięk dzwonka dał hasło do odbicia; odpłynęliśmy; a wkrótce *Sestokalende* usuwając się nam z oczu, utonęło w niebieskich wodach, białą wieżycy strzałą wystając jeszcze długo z wód powierzchni.

Jezioro zrazu wązkie, potém rozsuwa się szeroko; a im daléj płyniesz, tak z jednéj jak i drugiéj strony coraz wyższe wyskakują góry, ze wszech stron zamykające gładką wody powierzchnię.

Okręt, którym płynęliśmy, ochrzczony imieniem *Il Veloce,* miał kapitana **Bertelli,** którego tytuł *il padrone del bastimento.* Człowiek ten wzrostu wysokiego, twarz miał ogorzałą od słońca, a ponurą wargę obwijał mu wąs nastrzępiony, który rozdzielał się nad ustami, spływał i zlewał się w jednę szeroką i długą bródkę hiszpańską.

Na głowie miał czapkę aksamitną czarną, ta wierzchem zwężonym niemogąc się utrzymać, łamała się i spadała z tyłu na szyję, tłukąc mu plecy czarnym kutasem, ile razy w rozmowie głową poruszał. Ubrany był w kurtkę, materyi letniéj w kratki *à la Walter Scott;* chustki nie miał na szyi. Rozwijająca się szeroko kamizelka, odsłaniała półkoszulek, starannie wykarbowany i błyszczący rzędem guzików, z których patrzały głowy Napoleona, księcia Reichstadt i inne. Na palcach pełno pierścieni i pęk błyskotek wisiał z kieszonki zegarkowéj. Ton jego mowy był poważny, dumny, uroczysty. Rozkazy, które wydawał, krótkie, w jedném zamknięte słowie. Odpowiedzi lakoniczne. Słowem, tyle miał dumy w całéj swojéj postawie, ile kapitan linijowego posiada okrętu, i tyle dzikiéj i nieotartéj o ludzi butności, iż żeglarz wielkiego oceanu więcéj jéj mieć nie może.

Towarzystwo żeglujące składało się z nas dwóch Polaków, damy włoskiéj, któréj twarzy rozpoznać nie mogliśmy, czarnym zasłoniętéj kwefem, ani posłyszeć dźwięku jéj ustek, bo zagadana przezemnie, miasto odpowiedzi, potrząsała tylko głową; było wreszcie trzech Włochów, toczących z sobą rozmowę o papieżu. Słowo *Charta,* jak tema w marzeniach waryacyi, obijało się nam nieustannie w uchu. Był i ksiądz w długim surducie, w trzewikach i trójgraniastym kapeluszu. Były nareszcie dwie niewiasty, młode i ładne, z któremi padron okrętu przez ciąg całéj naszéj żeglugi rozmawiał. Nachylony nad siedzącemi, jedną ręką wspierał się o poręcz pokładu, drugą przewracał błyskotki od zegarka; w rozmowie potrząsał, rzucał swoją głową, a kutas jego czarnéj czapki w największym był ruchu.

W drugiéj połowie okrętowego pokładu, formującéj, że tak powiem, szary onegoż koniec, w gęstéj zbite kupie, stało, siedziało i leżało mnóstwo męszczyzn i kufrów, kobiet i pudełek, dzieci i worków wypchanych.

Miejsce to, niby galerya w teatrze, tańsze, lecz jest mniéj wygodne z tego względu, że w niém umieszczeni podróżni, nie pokryci namiotem, który nas od słońca zasłaniał, wystawieni byli na żar nieba i ognie piekielnym równe, które z wnętrza okrętu zaprawione swędem węglanym buchały.

Nam było wygodnie, lubo, roskosznie; wesołość ogarnęła umysł i piosnką we włoskie wylać się chciała powietrze; zacząłem piosnkę: **Nie nawidzę was próżniaki;** atoli padron

przyskoczył i chwycił za ramię, rzekłszy: *non e permesso*. Resztę wrotki wcisnąłem w siebie nieukontentowany. Zacząłem się przechadzać po pokładzie i stanąłem przed żelazną poręczą, oddzielającą nas od miejsca na okręcie poślednięjszego. Już zaporę tę odchylałem, gdy oko padło na tablicę, z któréj wrzeszczał napis: *Non e permesso*. Niewola taka przykrą dla mnie była i nudzącą; dobywszy cygaro, skrzesałem iskrę; lecz zaledwie pierwszy z ust wysączyłem dymek, ujrzałem po za sobą znowu padrona i znowu usłyszałem te słowa: *Non e permesso*. Padron był dnia 26*go* kwietnia 1833 r. prawdziwym moim tyranem; *associacya idei* uczepiły się mojéj myśli imiona Gallów, Kalligulów i t. p. Dumałem, głos dzwonka przerwał dumanie, zerwał się padron, zasyczała para kominem wypuszczona w obłoki, spoczęły dygocące koła i okręt stanął. Byliśmy naprzeciw miasta *Arona*, a barka czterema wiosłami pracująca, strzały lotem wysunęła się z ulicy miastowéj i ku nam płynęła. Dwie niewiasty i męszczyzna pomnożyli towarzystwo żeglujące. Starsza postawy wysokiéj, szczupłéj kibici, w rysach jéj twarzy była słodycz i łagodność; młodsza ładną patrzała twarzyczką. Lubo ubiorem nie różniły się od siebie, jednak nie trudno nam było z zachowania się wzajemnego tych niewiast, ten wyciągnąć wniosek, iż starsza była panią, młodsza jéj służebną. Ona pierwszy krok brała wchodząc na pokład, padron podał jéj rękę, młodsza skoczyła sama. Uwagi moje nad nieznajomą wynurzyłem towarzyszowi. Rozmawialiśmy głośno. Dźwięk mowy polskiéj uderzył ucho nieznajomych niewiast, bo obiedwie pary ich oczu spoczęły na nas, i naszéj nie uszło to uwagi, że starsza odchodząc z towarzyszką swoją na drugi pokładu koniec, przemówiła coś do niéj cicho; zdawało się nam, iż francuzkim mówiły językiem i że o nas rozmawiały. Płynęliśmy daléj koło wzgórków wznoszących się nad miastem *Arona*, na których sterczy posąg S. Karóla Boromeusza, ze spiżu ulany, takiéj wielkości, iż w głowie onego, jak w obszernéj izbie, kilka wygodnie pomieścić się może osób, a we wnętrzu nosa można jak w krześle siedzieć.

Jezioro rozszerza się coraz więcéj, i tam gdzie najszerzéj rozlane, leżą owe wyspy, Boromejskiemi zwane: *Isola bella, Superiore, Madre, Piscatori*.

Najpiękniejszą, dziwną, czarodziejską, jest *Isola bella;* ni tam domów widać, ni drzew, niby wschody gdzieś wspinające się w górę, niby ułamek amfiteatru werońskiego, niby postument na wazony, wystaje z wody, pływa po jeziorze; na stopniach tych coś stoi, czy żywy, czy marmurowy olbrzym, a obok wiązka prętów, niby pik kozackich, czarnych, wysokich, to gaik cyprysowy.

A na boku z lewicy i prawicy téj pięknéj wyspy, jéj siostry wysepki kąpią się, pływają po wodzie, śmieją się do słońca domkami z białych niby kart wyrzniętemi, a w tyle za niemi wznoszą się piętrem po piętrze góry zielone; w tych zaś załamie, gazem niebieskim obwiany wystaje *Sempion*, jeszcze w śnieżnéj obsłonie. Obłok wzdłuż rozciągnięty, niby wąż białym nastrzępiony puchem, przesuwał się po jego czole i miękką przepaską je uwieńczał; zaś w dole u gór podnóża rozciąga się miasto *Nitra*, dotyka i trzyma ulicą swoją, niby wyciągniętą ręką, białą ulicę sąsiedzkiego miasta, już na poły tonącego w wodzie. Płyniemy szybko, a marzącemu oku zdaje się, iż wyspy i góry biegną naprzeciw nam podróżnym, spotkać się z nami niecierpliwe. Okręt parowy przebiega jezioro w całéj swéj długości, a nie wstępując po drodze nigdzie, wpływa o przeznaczonéj godzinie i jezioro tak regularnie obiega, iż mieszkańcy wysep i miasteczek nadbrzeżnych, ostrzeżeni o czasie, kiedy mimo przepływać będzie, wysełają łodzie swoje naprzeciw i podają podróżnym sposobność wylądowania na każdą, którą zechcą, wyspę. Za zbliżeniem się naszém do *Isola bella*, spostrzegliśmy barkę dobiegającą do okrętu. Okręt stanął, a padron zapytał w głos: „*Azali kto* „*nie wysiądzie na łódkę, płynącą do wyspy?*“ My wysiedliśmy, a z nami i owe dwie niewiasty z *Arona*, ze starym męszczyzną.

Na szczupłéj umieszczeni łódce, blisko byliśmy siebie; niepojęte wewnętrzne jakieś uczucie, pociągało nas ku owéj nieznajoméj. Chcieliśmy zawiązać z nią rozmowę, lecz skąpa w słowach, odpowiadała przez *oui* albo *non;* z drugiéj zaś strony równie niepojętym przejęci ku téj osobie szacunkiem, nie mieliśmy serca stawać się jéj natrętnymi, i przerwaliśmy rozmowę, któréj przeciągać widocznie ochoty niemiała.

Łódka okrążywszy wyspę, stanęła w jéj małym porcie; kilkanaście marmurowych stopni zawiodło nas do oberży *Al Angelo*. Wyspa w małym swoim obrębie mieści pałac Boromeusza, kościół, mieszkanie księdza i karczmę o piętrze. Ile domów i bram, tyle razy widać napis „*Umilitas*“ *); resztę wyspy składa ogród, w guście czysto włoskim, gdzie więcéj posągów, niż drzew; więcéj różnofarbnego żwiru, niż murawy; nie z wolna wznoszące się zielone pagórki, ale marmurowe prowadzą nas wschody do miejsca najwyższego, zkąd widok, ach jaki! — mam go w mojéj tece. — Obiegliśmy po ogrodzie. — Stary ogrodnik wskazał nam laur, jeden z najstarszych i największych w Europie, na korze jego widać jeszcze ślady ręki Napoleona i litery *batalia*. Po zwycięstwie pod Marengo był on na téj wyspie i własną ręką rysował na korze lauru to słowo, a drzewo wiatrem poruszane spuściło bohatérowi na czoło kilka swoich zielonych listków.

---

*) Pokora, herb Boromeuszów.



Isola bella.

Wstęp do pałacu był nam zabroniony, z przyczyny, iż, jak burgrabia onego namienił: *Il Signior Gran Papa i Signiora Gran Mama* właśnie co przybyli, robiąc nam wszakże nadzieję, iż dnia następnego pokaże nam wszystkie pałacu osobliwości. *)

(Koniec nastąpi.)

Opis koronacyi Stan. Leszczyńskiego. **)

Dnia 4go Oktobra roku 1705, jako w dzień naznaczony do koronacyi, udał się król incognito bardzo rano na zamek z małżonką swoją, pościwszy wprzódy przez trzy dni, aby się należycie do téj solennizacyi przygotował i przenajświętszą kommunią przyjął. Gdy zaś o godzinie 10téj przed południem wszystko było gotowe, dano znać szwedzkim posłom, którzy wraz przybyli na zamek, gdzie ich z wszelką uczciwością i godnością im przynależącą przyjęto. Na dziedzińcu zastali oni batalion piechoty, przy rozwiniętych chorągwiach i odgłosie muzyki; na wschodach przyjął ich marszałek nadworny kor. Poniński, gdy wysiadali z karety; a na kilku gradusach wyżéj, czekał na nich Sapieha, starosta bobrujski, który ich aż do sali gwardyi zaprowadził, gdzie półkownik od gwardyi Poniatowski, *) ich przyjął i do środka wprowadził. Tam im Sapieha, podskarbi litewski, który natenczas sprawował urząd marszałka w., wyszedł naprzeciw i wprowadził ich do pokoju króla Imci. Po skończonéj audyencyi, ruszył król do kościoła ś. Jana następującym porządkiem: Naprzód widziano paziów i szlachtę, posłów szwedzkich, za którymi postępowali posłowie i wielka liczba polskiéj szlachty. Tu się pokazał mieczny poznański z gołym mieczem w ręku. Potém kasztelan radzioński z jabłkiem królewskiém, daléj kasztelanowie, inowrocławski i lwowski, z swémi sceptrami. Sapieha, hetman w. lit. z dwoma koronami, a nakoniec podskarbi lit. Sapieha na miejscu marszałka w. kor. Przed królem szli szwedzcy posłowie Wachszlager i Palmberg. Król Imć Stanisław był ubrany w zupełną i przepyszną zbroję, a na niéj miał płaszcz purpurowy, sobolami podszyty, będąc prowadzony przez Potockiego, pisarza pol. kor. i Sapiehę, starostę bobrujskiego. Potém królowa w bardzo bogatą, srebrną materyą i w nieoszacowane prawie klejnoty ubrana, a przez grafa Horna prowadzona, w assystencyi znaczniejszych dam i kawalerów dworskich, pieszo szła aż do kościoła; gdzie prosto naprzeciw wielkiemu ołtarzowi postawiono dwa trony z dwoma baldachimami, przy których warta stała. Między pierwszą ławą, a wielkim ołtarzem, stały trzy krzesła dla szwedzkich posłów, między którymi graf Horn, najpierwszy był. Nad tém miejscem jest jedno okno i pokój zamkowy,

*) Między innemi widziałem obraz wystawiający wesele krakowskie na rynku weneckim, gatunek maszkarady, którą wyprawiał doża, celem uczczenia goszczącego w Wenecyi króla polskiego, pierwszego Sasa. Ubrano gondolierów w sukmany białe, niby skalmierskie, i wyuczono krakowskiego tańca. Ten obraz zachowuje pamiątkę Polakom, z téj uwagi miłą, iż stanowi dowód, jakie onych czasów król polski miał u obcych znaczenie.

**) Wyjęty z historyi życia jego, bezimiennie wydanéj roku 1744.

*) Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki, ojciec króla Stanisława Augusta. Obacz Przyjaciela Ludu Nr. 44., Tom IV.



Medal na pamiątkę koronacyi Stanisława Leszczyńskiego.

w którym królowie polscy zwykli mszy ś. słuchać, a teraz król szwedzki, Karól, znajdował się z grafem Piperem, z młodszym xiążęciem wirtembergskiém i niektórymi innymi szwedzkimi oficerami. Naprzeciw tego miejsca postawiony był mały balkon, dla matki króla Stanisława, dla królewien i dla innych znaczniejszych dam polskich. Skoro oboje królestwo przyszli do kościoła, na gradusach tronu przyjęci byli od dwóch biskupów i tyluż innych prałatów, i wraz król do ołtarza był zaprowadzony. Królowa zaś tymczasem poszła do zakrystyi. Przed ołtarzem znajdował się arcybiskup lwowski, na krześle siedzący, do którego biskup kamieniecki przemówił temi słowy: *Matka nasza, kościół ś., żada, aby ten waleczny rycerz na króla obrany, mógł być ukoronowan.* Gdy potém arcybiskup zapytał: *jeżeli on godzien jest téj godności i jeśli chce zachować to, co do króla należy?* odpowiedział biskup: *iż on zaiste jest tego godzien i chce zachować to, co do króla należy.* Zatém królowi zdjęto szyszak, król ukląkł, poprzysiągł, iż Pacta Conventa sacrosancte zachowa, pocałował pierścień arcybiskupi, wyznanie wiary uczynił i podczas przysięgi obie ręce na Ewangielii ś. położył. Potém arcybiskup z odkrytą głową razem z innymi duchownymi ukląkł na kolana, król zaś krzyżem padł na ziemię, gdy tymczasem litanije śpiewano i odmawiano inne modlitwy. Po odprawieniu onych, znowu arcybiskup usiadł na swojém krześle, król zaś klęczał na kolanach, a z niego płaszcz i zbroję zdjęto. Arcybiskup wielkim palcem swojéj prawéj ręki, dłoń królewskiéj prawicy, kość u łokcia i na ręku między palcami pomazał, mówiąc: *ja cię namaszczam na króla, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen!* Potém otarł swój wielki palec chlebem i obmył, a tymczasem biskup także chlebem i cienką chusteczką otarł króla, który zaprowadzony do zakrystyi, włożył na się białą biskupią albę, a wróciwszy nazad do ołtarza, odebrał miecz goły od arcybiskupa i oddał miecznemu kor., który włożywszy go w pochwę, przypasał do boku królewskiego; król go zaś dobył i kilka razy machnął po powietrzu, pokazując, jak onego ma zażyć, a potém znowu włożył go do pochwy. Arcybiskup wsadził koronę królowi na głowę, biskupi zaś berło w prawą, a jabłko królewskie w lewą rękę dali. W takim ubiorze wstąpił król na tron, po chwili znowu udał się do ołtarza z czterema biskupami i żądał od arcybiskupa, aby i królową ukoronowano. Poczém poszło dwóch biskupów do niéj i przyprowadziwszy ją przed ołtarz, ukoronowano tym samym prawie sposobem, jak króla, zakończając ceremonią śpiewaniem hymnu: *Te Deum* i troistym wystrzałem armat i garnizonowéj piechoty. Naostatek jeden z biskupów przeniósł mszał królestwu Ichmć do pocałowania, którzy potém poszli do ofiary i oddawszy każde z nich zieloną książkę pełną złota, pocałowali powtóre pierścień arcybiskupi i różne relikwie. Ztamtąd powrócili do swych tronów, słuchali mszy wielkiéj, a po jéj ukończeniu, kommunikowali pod dwoma osobami i odebrali benedykcyą z rąk arcybiskupa. Naostatek, po odprawieniu wszystkiéj ceremonii, marszałek koronny zawołał: *wiwat król i królowa!* co z wielkim okrzykiem po całym kościele powtórzono.

Na pamiątkę téj koronacyi wybito medal, który na jednéj stronie, wokół popiersia królewskiego, miał napis: *Stanisław I. król polski;* a na drugiéj było słońce, ogrzewające swemi promieniami krążące pod niém stado bocianów, młodych i starych, z napisem: *Patrio sub sole salubres,* co znaczy, że szczęśliwy jest lud pod królem Piastem. Na spodzie: *Stanisław I. na króla polskiego koronowany dnia* 4. *Paź.* 1705.

Wspomnienia podróży, odbytéj roku 1837 przez Annę Nak....

(Dokończenie.)

Nic o Inszpruku powiedzieć nie mogę; deszcz ciągły padał przez pół dnia mego w nim pobytu, znalazłam to miasto, na rzut oka puste, ale dosyć wielkie; ma zawierać godne widzenia

pomniki, których, dla lekkiéj słabości, oglądać nie mogłam. Położenie tego miasta jest tak, jak wszystkich innych w górach, piękne, a rzeka Inn, już znacznie tam szeroka, ułatwia jego handlowe stósunki; bardzo dobry hotel na rynku, miły nam w téj stolicy Tyrolu odpoczynek ofiarował. Wyjechaliśmy z niéj, bardzo rano w niedzielę, nie mało zastraszone opowiadaniem tamecznych mieszkańców o trudnościach drogi, szczególnie zaś o przeprawie przez ostatnią górę Adlerberg, czyli Orlą górą zwaną, która Tyrol od innéj austryackiéj prowincyi oddziela i ostatnim zakresem naszych trudów być miała. Ale już tyle przeciwności zwalczywszy, byłyśmy równie na następne przygotowane a chwalebny i miły cel naszéj podróży, z dopełnieniem najświętszych obowiązków, oddalał od nas wszelką obawę. W niedzielę więc zrana, przebywszy rzekę Inn na pięknym murowanym moście, zapuściłyśmy się zaraz między skały, wzdłuż bystro płynącego strumienia, a coraz wyżéj pod górę jadąc, pożegnałyśmy nazawsze owe piękne miasto, w tém miéjscu pod naszemi stopami szeroko się roztaczające.

Wzniosłyśmy się więc nad zieloną dolinę, po któréj kilkanaście wiosek, kościołów i kaplic w malowniczym układzie rozrzuconych było; ożywiał ją miły odgłos dzwonów, niedzielne nabożeństwo oznajmujących. Nic tak nie usposobia serca do pobożnych natchnień, jak ten dźwięk tak słodki, tak wiele w duszę lepszego życia przeczucie wprawiający; głośniéj i ciszéj kolejno odzywały się wspólne wszystkich Chrześcian do modlitwy pobudzające narzędzia; starożytna wieża, ogromnym i mnogim swych dzwonów łoskotem, tłumiła dźwięczne, małéj drewnianéj dzwonnicy sygnałki; daléj wpośród stuletnich modrzewów i buków, posełał ciemny smętarz do niebios odgłos swego dzwonu, jakby przebaczenia dla pogrzebionych w nim grzeszników żebrzący; kilka miejskich kościołów, głoszą daléj jeszcze swe nabożeństwo, kotłami i trąbą; przy gościńcu zaś maleńka otwarta kapliczka, cichym dzwoneczkiem, podróżnemu łatwość do odbycia niedzielnéj modlitwy wskazuje. A tak ten odgłos jednostajnie brzmiący, jednę myśl, jeden cel westchnień i nadziei, o téjże saméj chwili duszom naszym udziela, modlitwa wspólnie je zasila, ożywia, spokoi. Tak więc w Tyrolu, w Szwajcaryi i w mojéj zagrodzie, o jednéj i téjże saméj porze dusze i serca nasze, jednéj i téj saméj pociechy doznały, jedną i tą samą nadzieją i ufnością przejętemi się czując. Zastraszające nas o dalszéj drodze wieści, nie bardzo nam się powiekszonemi wydały. Skorośmy minęli sławną *Martinswand*, czyli (Marcina ścianę) ogromną massę skalistą, która między sobą, a rzeką, ciasny tylko przesmyk zostawia, i na któréj ki dyś cesarz niemiecki dwa dni bez pokarmu i napoju na polowaniu się zabłąkawszy, na pomoc oczekiwał; coraz okropniéjsze przyrodzenia zjawiska, odwagę naszę (t. j. odwagę trzech kobiet i dziecięcia) na ostrzejsze wystawiły próby. Odtąd rzeka Inn, którąśmy ciągle około drogi płynącą widzieli, tak łoskotliwie po skałach i kamieniach huczała, żeśmy w pojeździe głosów naszych słyszeć nie mogły, a czarne i szare skały, śniegiem napełnione przepaście i drzew iglastych lasy, cały ten kraj w okropnie dziką i przeraźliwie szczególną pustynię zamieniły.

Raz tylko widok prześlicznie na zieloném wzgórzu położonego i zamieszkałego, lubo bardzo dawnego zamku, przy połączeniu innej jakiéjś rzeki z tą, która nam ciągle towarzyszyła, jego ogrodów, zwierzyńca i powiewających w otwartych oknach draperyi, tak jakby zielona *Oasis* wśród piaszczystéj arabskiéj puszczy, niespodzianie nas zachwyciła. Tysiące strumyków lecąc z gór, spajały się w swym biegu i tworzyły małe wodospady, które coraz niżéj w jedno koryto spłynąwszy, po stromych kamieniach do rzeki wpadając, łoskot jéj jeszcze powiększały. To panorama najpogodniejszym dniem umilone, mieliśmy pod naszemi stopami, bo droga coraz wyżéj się teraz wijąc, już nam swoją okropną dzikością, wyobrażenie owego strasznego Adlerbergu, dać chciała.

Dostałyśmy się nakoniec i na tę młodszą stromych Alpów siostrę; rzetelnie wyznać muszę, że przez dwie godziny, coraz wyżéj się wznosić i coraz bliżéj zimy i śniegu, a to 3go Lipca się widzieć, wcale nie miłe na nieprzyzwyczajonych do tego wrażenie czyni. Żadnéj przyjemności, bo nawet pięknego widoku, ta olbrzymia góra nie przedstawia; śnieżne śpiczaste jéj wierzchołki, ciemno-zielone iglastych drzew cienie, i zimne, suche, a ostre powietrze, żywą chęć do prędkiego jéj przebycia podróżnemu nastręcza. O! jakże nam było miło, coraz niżéj się spuszczać, pożegnać śniegi téj krainy; a schodząc ostrożnie z téj spadzistéj góry, widzieć coraz dokładniéj rozwijające się przed nami Voralbergu płaszczyzny i na dalszym widokręgu Szwajcaryi równiny i wzgórza błogo roztoczone.

O jedności kościoła.

(Dzieło z XVIgo wieku, przez X. Piotra Skargę.)

(Ciąg dalszy.)

Czwarty znak jest kościoła Chrystusowego: sukcessya i potomstwo, apostolskim rodzajem porządnym a nierozerwanym aż do naszych wieków idące. Wzięli apostołowie moc od samego Chrystusa i Boga naszego, na sprawowanie zbawienia ludzkiego, na kazania, na czynienie Sakramentów, na odpuszczanie grzechów: i to cudy pokazali. A iż po wzięciu urzędu tego, małżeństwu nie służyli, ani się godziło w duchownym zakonie cielesną sukcessyą czynić:

moc też ona z nimi umrzeć nie mogła, bo kościółby bez niéj zginął: cóż się stało? kładzeniem rąk dziedzice sobie i potomki czynili, dając im tę moc, którą sami od Pana Boga mieli; i tak szło powołanie prawe na ten wielki urząd kapłański, i to znak był zawżdy najpewniejszy kościoła bożego. Niechże kacerze ukażą początek i źródła kościołów swoich; niech się rozpytają w przeszłych wiekach, mająli sukcessyą od początku idącą, taką, żeby pierwszy ich biskup, albo był który apostół, albo od apostolskich mężów, którzy z apostoły trwali. Smirneński kościół ma Polikarpa, którego Jan święty postawił; rzymski ma Klimunta, którego Piotr święty. Tém się też w kościele katolickim Augustyn ś. zatrzymał, tak mówią: trzyma mię w kościele bożym wyzwanie wszystkich narodów i poważność cudy zaczęta, nadzieją uchowana, miłością rozmnożona, starożytnością utwierdzona; trzyma mię od saméj stolicy Piotra apostoła, któremu owce swoje ku pasieniu Pan po zmartwychwstaniu zlecił, aż do dzisiejszego biskupstwa kapłanów, sukcessya. Dzisiejszych kacerzy synagogi próżno się kościołem bożym pokrywają; takich ojców, z rodzaju apostolskiego, nie ukazują, ani ukazać mogą. Przeto samosłańcy są ich ministrowie, sami się w urzędy, do których nic nie mają, wmiatają; sami sobie moc boską do kazania i czynienia Sakramentów przyczytują, któréj ani od Boga wzięli, ani jéj żadnym prawdziwym cudem podeprzeć mogą, ani jéj też potomstwem rodzoném i dziedzictwem wziąć mogli: ponieważ są bez ojców, bez przodków, bez tradycyi i dziedzictwa mocy raz od Chrystusa wziętéj.“

Nie jeden zapewne z czytelników zdziwi się mocno, że taką wymowę, takie piękne rzeczy, wyjmuję mu z książki, już przeszło od półtrzecia wieku drukowanéj, o któréj może ani słyszał. Tak to po szkołach uczono nas języka polskiego, tak literatury polskiéj! Cóż dawano młodzieży za wzór stylu? Oto mowy Stanisława Potockiego, Szymanowskiego listy o smaku. Czy czasem nie dla tego Skarga zostawał w takiéj niełasce i leżał tylko w pajęczynach bibliotek, że mowa w nim o Panu Bogu i wierze katolickiéj? że byłto fanatyk, Jezuita, nie mający ani cienia filozofii i tolerancyi owego wielkiego Russa, co przy oklasku wszystkich mędrców swojego wieku, tak radził obierać sobie religije, jak się n. p. obiera kolor sukni albo forma kapelusza? mówię ani cienia téj zawołanéj tolerancyi, u któréj w uściech każda religia była dobra, bo w sercu każda była niczém.

Część wtóra, mająca rozdziałów 20, zawiera o greckiém od jedności kościoła bożego odstąpieniu. Tu autór wskazawszy naprzód czém odszczepieństwo różne jest od heretyctwa, przebiega historye Schizmy greckiéj, aż do synodu florenckiego w roku 1438; gdzie, jak wiadomo, na powszechnym zjeździe biskupów, metropolitów i patryarchów i za wolą obecnego także cesarza greckiego, Jana Paleologa, zapadł był akt unii, przez który kościół grecki wracał pod posłuszeństwo stolicy apostolskiéj: co jednakże dla niestałości i zaślepienia Greków rychło potém w niwecz poszło. Każdy tu jasno zobaczy że jedynie hardość patryarchów carogrodzkich i duma obrażonych cesarzy wschodnich sprawiła to wielkie odszczepieństwo; że błędy i złości jego, były zawsze na wszystkich zborach kościoła potępiane; że sami sprawcy onego po wielekroć się go zarzekali, ale że nigdy w dobrém i zbawienném wytrwać nie umieli. Porządne, jasne i zawżdy przekonywające rozumowanie, podpiera tu ciągle autor oczywistemi z kościelnych i świeckich dziejów dowody: w czém też nie tylko kapłańską gorliwość, jasne widzenie rzeczy i prawy rozum, lecz także niepospolitą naukę pokazuje. „A jeśli rzeką, mówi zaraz w rozdz. 2gim, innąśmy sobie głowę wszystkiego kościoła, tojest patryarchę carogrodzkiego postawili: tedy ich spytam, którą to mocą uczynić mogli? Od Boga jéj przez apostoły mieć nie mogli: bo na stolicy carogrodzkiéj ani Piotr ś., ani żaden apostół nie siedział; owszem, na wtórym zborze (jako Theodoret grecki pisze) nowo-szczepioną winnicą się zowie. Nie mają jéj też od żadnego powszechnego zboru, jakich Grekowie ośm liczą: bo żaden z tych ośmiu kościołowi rzymskiemu w niczém nie przyganił, ani mu téj zwierzchności, którą miał od Boga przez Piotra ś. nie odjął, ani odjąć mógł; ale raczéj wszystkie te synody zgodnie papieża za pasterza wszystkiego chrześciaństwa i za głowę swoją, jako się już pokazało, wyznawali. A tak sami się carogrodzcy patryarchowie swawolnie i wszetecznie fałszywą i malowaną głową wszystkiego kościoła czynić chcieli. Co tak być może, jako gdyby ręka głową się uczynić chciała, która z przyrodzenia jest ręką. Stolica Piotra ś. prawem bożém na zwierzchności kościoła posadzona, żadném ludzkiém prawem tracić swoich przywilejów nie może: ale jako przyrodzona głowa trwa i trwać będzie przy członkach kościoła bożego, chociaż się od niéj niektóre członki na zgubę swoją odszczepiły.“

Że wspomniony wyżéj zbór florencki za Eugeniusza IV. odbyty, potępił schizmę jak najwyraźniéj, a jest dla Greków tém straszniejszy, iż podparty powagą dwóch ich władz najwyższych, patryarchy carogrodzkiego i cesarza, więc nie mogąc na żaden sposób wyrokom jego zaprzeczyć, woleli go raczéj ogłosić całkiem za niebyły; dla wszelkiego nawet na przyszłość w błędzie swym bezpieczeństwa, powiedzieli sobie, z osobliwszą jakąś logiką, że zborów nie mogło i niemoże być więcéj jak siedm, że przeto florencki, jako ósmy, już tém samem nic nie znaczy i jest żaden. Na to Skarga w prostocie i tonie staropolskim tak im (w Rozdz. 17.)

odpowiada. „Mówią, iż więcéj zborów być, jedno siedm, nie może, a już ósmego niepotrzeba: tojest tego, który Greki potępia i błędy ich ukazuje i upór i nieposłuszeństwo ich odkrywa. Radby złodziéj to stanowił, gdyby go usłuchano, gdy widzi, iż towarzysze jego karzą, aby wójta i burmistrza daléj nigdy nie było, żeby wolno kraść mógł, a na żadne się karanie nie oglądał. Równy jest takiemu, kto mówi, iż zborów więcéj okrom siedmiu nie potrzeba. Nie widzą ci ludzie, iż ten jest koniec i ta potrzeba zborów śś., aby heretyctwo wykorzenione było, a zdrowa nauka cała została; aby się wiara roztargniona kacerstwem posilała, a zgorszenie i złe obyczaje jako złe ziele z ogrodu i winnicy bożéj, wypleniane były. A ponieważ apostół mówi, iż kacerstwa być muszą, i Zbawiciel nasz świadczy, iż zgorszenia być muszą: a jakożby to przystało nieprzyjaciele mieć, a obrony na nie nie mieć? Nigdy złodzieje i rozbójnicy nie ustają, a urząd który nas od nich broni ma ustawać? Jeśli to obiecywać i mówić kto może, iż żadne kacerstwo po siódmym zborze nie powstanie, ani się rozterków i zgorszenia w kościele bożym namnoży; tedy i to rzec może, iż zborów więcéj nie potrzeba. Co jako jest nieludzka, ale anielska, nie ziemska, ale niebieska, nie tego czasu, gdzie grzech jeszcze miejsce ma, ale onego, gdzie bezgrzeszni już zostaniem: każdy to widzi. A jako tu na wojnie pokój sobie kościół wojujący obiecywać może? Przetoż nigdy tego miecza, którym kacerstwa i zgorszenia umarza i zabija, od boku nie odpasze."

(Koniec nastąpi.)

Kot i myszka.

Onego czasu, pewna myszka mała,
Wyszedłszy sobie pod nocy zasłoną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała,
I już miała być zjedzoną.
A więc krzyczy niesłychanie:
„Stój! stój, dla Boga! zatrzymaj się panie!
„Czyś ty nie jest owym kotem,
„Co się łapimyszką zowie?“
Tak jest, kot rzecze, lecz zkądże wiesz o tém?
A ta mu na to odpowie:
Przypomniéj sobie, jak rok temu trzeci,
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakeś płakał i narzekał
I już pewnéj śmierci czekał;
Gdy cię mysz jedna, już wiekiem pochyła,
Z téj niedoli wybawiła.
Widzę ja, panie, że jéj pamięć tkliwa,
Dotąd cię jeszcze rozczula;
Otóż to, otóż, ta mysz litościwa
Była to moja matula.
Umarła biedna, lecz tyś jéj zaręczał,
Że jéj to będziesz na dzieciach odwdzięczał;
Pomniéj więc, pomniéj na twe słowo kocie. —
Ach! tak jest, rzecze, cały łzami zlany
Łapimyszka zaślochany,
Zaprzysiągłem jéj w istocie
Nietylko sam was oszczędzać,
Ale i drugie koty gryść, rozpędzać,
Wszelkie odpierać napaście.
Lecz powiedz mi, moja miła,
Ileż twa matka dziatek zostawiła? —
Myszka mu na to: dwanaście. —
Dwanaście? kot zawoła; o lube istoty,
Biedne myszeczki, niewinne sieroty,
Jakże im przykro być musi bez matki!
Wszystkie przybieram za me własne dziatki,
Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobaczę,
I z tą przybraną poznam się rodziną. —
Biegnie mysz nasza i z radości skacze,
Pędzi jak gdyby z najlepszą nowiną,
Woła na swoje siostrzyczki, braciszki;
Lecą głupie myszki;
Gdy wtém kot zdrajca nagle na nie wpada
I zamiast jednéj, cały tuzin zjada.

M.

Jagnię.

Maleńkie jagnię w pewnym wielkim lesie,
Płacząc i biegnąc, gdzie je rozpacz niesie,
Takim zwierzęta przyzywało głosem:
Zlitujcie się nad mym losem,
Moją dolą opłakaną;
Wspomóżcie biedną sierotę,
Ścigajcie wilka niecnotę;
Porwał mi matkę kochaną!
Przez wzgląd na całe rodzeństwo,
Na publiczne bezpieczeństwo,
Zbierzmy się razem, zbierzmy,
I na tyrana uderzmy. —
Zachowajcie to wspomnieniu,
Co wam żal mój przepowiada:
Zaczął na owcy, skończy na jeleniu,
I tak nas wszystkich pozjada.
Zbiegły się zewsząd liczne zwierząt trzody,
Tkliwym nieszczęścia przywołane głosem.
Każde okropnéj słuchało przygody,
Każde nad swym drżało losem.
Zając rozmyślał o swéj nędzy, biedzie,
Jeleń łzy ronił nad dolą zwierzęcia;
Lis burzył, dzik się srożył, mruczały niedźwiedzie,
Ale nikt nie wsparł jagnięcia.
Lecz pocóż biedne zwierzęta oskarżać,
Poco bajkę stwarzać?
By wiedzieć ciągłe niewinnych nękanie,
Płonne z przemocą zapasy,
Słyszeć daremne na bliźnich wołanie,
Potrzebaż iść w lasy?

M.

Młody dąb.

Wpośród dębów zwalonych przez wicher straszliwy,
Wznosił się młody dąbek, rosły, ale krzywy.
Zaledwie kilka nędznych gałęzi rozwodził,
I cudem chyba kiedy jaką żołądź zrodził;
Lecz, że to nie nowiną na tym świecie bywa,
Że i w klocu niezgrabnym duma się odzywa,
Gromom więc czoło swoje stawiał z urąganiem,
Orła nawet przyzywał, aby zasiadł na niem.
Lecz orzeł tak mu rzecze: nędzny szczątku lasów,
Duma twoja pochodzi z smutnéj zmiany czasów;
Upadły pierwsze dęby, ztąd się pierwszym mniemasz,
I dla tegoś jest wielkim, że już wielkich nie masz!

M.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)